

Jerzy Madzelan

OPOWIEŚCI BROKOWSKIE HISTORIA TEOFILA

W grudniu 2017 r. świat obiegła wiadomość o śmierci generała-porucznika armii amerykańskiej Edwarda Rowny. Generał, który brał udział w II wojnie światowej, a także w wojnach w Korei i Wietnamie, został pochowany na Cmentarzu Narodowym w Arlington koło Waszyngtonu. Wiadomość o jego śmierci przeszłaby w Polsce bez większego echa, gdyby nie dziennikarze, którzy odkryli, że rodzice generała pochodzili z Polski. Jego ojciec Jan Gracjan Równy urodził się w Nagoszewie – dużej wiosce, położonej tuż obok mazowieckiego miasteczka Brok.

Znacznie wcześniej, na genealogicznym portalu wikitree.com, gdzie Meghan Rosenstengel prowadzi projekt „Madzelan”, ukazała się informacja, że na cmentarzu w Arlington, swoje miejsce wiecznego spoczynku znalazł także inny mieszkaniec okolic Broku. Osobą tą jest Teofil Madzelan, który na świat przyszedł 19 października 1889 r. w Grabownicy Nowej. Był kolejnym dzieckiem Michała Madzelana i Marianny z Romańczyków.

WSTĘP

Pomińmy opowieści o Janie z Kolna, który już kilkanaście lat przed Kolumbem miał ponoć dotrzeć do brzegów Ameryki Północnej. Przejdźmy także obok też portugalskiego historyka Manuela Rosy, który w książce *Kolumb. Historia Nieznana* dowodzi, że Krzysztof Kolumb był synem polskiego króla Władysława III Warneńczyka.

W tym momencie pozostajemy z historiami znacznie mniej barwnymi, ale udokumentowanymi. 1 października 1608 r. do Jamestown w Wirginii przyłynął statek Mary and Margaret. Na pokładzie znajdowali się także nasi rodacy. Ich przybycie związane było z porażką pierwotnej koncepcji kolonizacji. Nadzieje na szybkie zdobycie fortun na wzór hiszpańskich konkwistadorów legły w gruzach. W okolicach Jamestown nie znaleziono pełnych złota pałaców i świątyń, nie było też drogocennych przypraw. Do żołnierzy, kupców, awanturników, poszukiwaczy przygód, musieli dołączyć ludzie fachowi i pracowici. Perspektywa ciężkiej, żmudnej pracy była widocznie na tyle mało atrakcyjna, że chętnych do wyjazdu za ocean wytwórców potażu, smoły, mydła czy szkła trzeba było poszukiwać aż w północnej Polsce.

Zamieszkujący Jamestown Polacy zapisali się na kartach historii, jako pierwsi w Ameryce Północnej organizatorzy strajku politycznego. Ponieważ nie byli poddaniymi angielskimi, odmówiono im praw wyborczych. W odpowiedzi uchylili się od pracy. Jako że byli nielicznymi, chętnymi do ciężkiej pracy fachowcami, władze ustąpiły.

Przez następne dziesiątki lat polska emigracja do Ameryki Północnej miała charakter śladowy. To raczej dosyć dostatnia i tolerancyjna Polska była miejscem osiedlenia dla mieszkańców innych rejonów Europy.

W roku 1854 powstaje pierwsza polska osada w Ameryce Północnej. Polscy emigranci z Górnego Śląska zorganizowani przez księdza Leopolda Moczygembę, zakładają w południowym Teksasie osadę Panna Maria. Powstanie osady zbiega się z początkiem narastającego strumienia emigracji z Europy Wschodniej, który w krótkim czasie przybierze postać rwącej rzeki.

ŹRÓDŁA WIEDZY O ZIEMI OBIECANEJ

Każdy ze zdecydowanych na emigrację miał swoje własne wyobrażenie kraju, do którego zmierzał. Prezentowany artykuł dotyczy historii zwykłych ludzi, którzy w sporej, a początkowo w przeważającej części byli analfabetami. W

dużych miastach znajdowały się biura agentów linii żeglugowych, gdzie można było podziwiać wspaniałe obrazy odległych miast i majestatycznych statków. Ten wątek jednak pomińmy. Nasi bohaterowie z pewnością nie należeli do oficjalnych klientów tych biur.

Pośrednicy zarabiający na prowizjach związanych z załatwianiem formalności wyjazdowych starali się rozpowszechniać kolorowe ulotki i jeszcze bardziej barwne pogłoski. Bywało, że taką ulotkę z widokiem pięknego okrętu, ktoś sprzedawał jako bilet na wyprawę za ocean. Czasami, ktoś dał się skusić opowieściami o Brazylii leżącej tylko o pół dnia jazdy furmanką od Ziemi Świętej. Kogoś zaś innego zachwycił piękny obrazek Matki Świętej, czyli Statuy Wolności, zapraszającej do przybycia do cesarstwa amerykańskiego. Cesarze Brazylii i Ameryki mieli rozdawać dowolną ilość żyznej ziemi. W propagandowych opowieściach, po złoto wystarczyło się w Ameryce schylić, pożywienia zaś dostarczały chlebobodne drzewa. Z pewnością cennym źródłem informacji były listy od rodzin i sąsiadów. Oczywiście, piszący często przesadzali i swoją skromną zamorską egzystencję, ukazywali jako życie magnata. Bywało, że w napisaniu listu, niepiśmiennych imigrantów wyręczały osoby zaangażowane w emigracyjny interes. Uczynnym sklepikarzom, właścicielom barów, wynajmującym mieszkania bardzo zależało na powiększaniu liczby potencjalnych klientów. W ich korespondencji Stany Zjednoczone przedstawiane były, jeżeli nie jako raj, to przynajmniej jako przedsionek raju. Ameryka była z pewnością tematem ożywionych dyskusji w karczmach, na jarmarkach, pod kościołami, w czasie każdej uroczystości i wreszcie w każdej chałupie. Statki większe od kilku razem wziętych brokowskich, sadowieńskich czy ostrowskich kościołów i ogromne budynki, zamieszkane przez gromadę ludzi większą niż cała gmina populacja, były świetnym tematem do gawęd w długie jesienne i zimowe wieczory.

Do wiosek i miasteczek poza listami przybywały pieniądze od emigrantów. Także i emigranci zaczęli odwiedzać swoje rodzinne okolice, a nawet powracać na stałe. Czasami wyjazd był ekonomiczną katastrofą, lecz częściej sąsiedzi widzieli nowe domy. W wyremontowanych oborach pojawiał się nowy inwentarz. Zwiększał się także areal posiadanej przez „Amerykanów” ziemi. W lepszych ubraniach śmieiej stawali w pierwszych rzędach w kościele. Podczas mszy ich śpiew brzmiał donośniej, a i w karczmie dotychczasowy zastraszonego małorolny stawał się mentorem.

O rozmiarach emigracji pisał Adam Chętnik: „W gminie Wach, liczącej 12 tys. ludności, do Ameryki wyemigrowało 2 tys. Ze wsi Dylewa (pow. Ostrołęcki), liczącej 175 domów, w Ameryce było do r. 1912 ok. 400 osób. Z gminy Nasiadki (pow. Ostroł.), liczącej 7.630 ludności, wyemigrowało do Ameryki 948 mężczyzn i 619 kobiet, razem 1.567 mieszkańców”¹.

DECYZJA O WYJEŹDZIE

Wierzę w rozsądek mazowieckiego chłopca i uważam, że przeróżne fantastyczne opowieści nie decydowały o opuszczeniu rodzinnych stron. Może chłop nie umiał się podpisać, a jeżeli umiał czytać, to dukał straszliwie. Jeśli nie dukał, to nigdy nie było mu dane zostać czytelnikiem dzieł klasyków. Z pewnością jednak chłop polski potrafił rachować i na tym się skupię. W moim przekonaniu to wykonanie kilka prostych obliczeń decydowało o wyjeździe przeciętnego Teofila.

Bliższe wyjazdy za granicę nie były niczym nowym. Już wcześniej wędrowano za pracą do pobliskich Prus. Bywały lata, że w rejonie Myszyńca nawet 30% ludności opuszczało swoje rodzinne strony w poszukiwaniu pracy. W okolicach Broku takich przypadków było z pewnością mniej, ale nie były rzadkością. W 1904 r. pracownik sezonowy przywoził przeciętnie z Prus ponad 100 rubli w przypadku mężczyzn i 50 rubli w przypadku kobiet. Poza gotówką przywożono prezenty dla rodziny, ubrania, drobne elementy wyposażenia domu i gospodarstwa. Znacznie wyższe stawki płacono w Kurlandii. Mieszkańcy guberni łomżyńskiej cenili sobie jednak rzetelność pracodawców z pobliskich Prus. Na swój sposób ta sezonowa praca, miała charakter pracy stałej. Z roku na rok pracowali u tego samego właściciela ziemskiego. Podane wyżej kwoty zaoszczędzonych pieniędzy, są niewiele niższe od całorocznych zarobków robotnika pracującego w guberni. Jednak po pierwsze, to należało mieć pracę, a po drugie zarobić przez rok, nie oznaczało jeszcze zaoszczędzić. Tymczasem około roku 1904, emigrant przebywający w Stanach Zjednoczonych odkładał rocznie przeciętnie równowartość 250 rubli².

W tym czasie hektar ziemi w guberni łomżyńskiej kosztował odpowiednio: najlepszej ogrodowej od 300 do 600 rubli, pszennej 150-250, żytniej 100-150, łąki do 150 rubli. Budowa domu stanowiła wydatek rzędu 150-180 rubli³.

¹ Adam Chętnik, *Kurpie*, s. 52, 53.

² Adam Dobroński, *Infrastruktura społeczna i ekonomiczna guberni łomżyńskiej i obwodu...* s. 112-116.

³ Tamże, s. 117.

Po 5-6 latach pobytu w Ameryce, zwłaszcza jeżeli przebywało tam kilku członków rodziny, powracający mogli być ludźmi zamożnymi o znacznie wyższej pozycji społecznej. Jak pisze Adam Dobroński: „Tak na przykład Kurpie wracający ze Stanów Zjednoczonych, mogli już swobodnie, w majestacie opinii środowiskowej, przenosić się na południowy brzeg Narwi, na tereny zamieszkałe w większości przez szlachtę mazowiecką”⁴.

Pieniądze są ważne, ale gdyby Teofil się wahał, to pozostawał jeszcze as w rękawie. Asem była uchwała o powszechnym obowiązku służby wojskowej z 1874 r. W 1905 r. generał-gubernator warszawski oceniał, że około 80% wyjeżdżających z terenu cesarstwa stanowili: poborowi, rezerwiści, dezerterzy i rolnicy mogący w przypadku konfliktu zostać członkami pospolitego ruszenia⁵. Cele cara Mikołaja II Romanowa z Petersburga i marzenia Teofila Madzelana z Grabownicy były diametralnie różne. Car potrzebował młodych, silnych, energicznych ludzi do obrony imperium. Problem w tym, że tacy właśnie ludzie byli wręcz stworzeni do poszukiwania nowego miejsca do życia.

Ojciec Teofila, Michał był bednarzem. Z pewnością posiadał także kawałek piaszczystej ziemi. W domu, jeżeli nie żyło się biednie, to zapewne bardzo skromnie. Teofil jako kolejny syn, nie mógł liczyć na wiele. W domu Michała i Marianny Madzelanów rozmowy ciągnęły się z pewnością do późna przez wiele nocy. Taki wyjazd to wielka inwestycja. Kupno biletu na statek to w 1910 r. wydatek rzędu 140 rubli. Z dodatkowymi kosztami to nawet 200-250 rubli, czyli równowartość 4-5 krów. Nawet współcześnie są to poważne pieniądze.

Oceniam, że do wyjazdu doszło w latach 1910-1914. Minęła wprawdzie wojna japońska i rewolucja roku 1905, ale nawet do Grabownicy nadchodziły wieści o niepokojach na Bałkanach. Niebezpieczeństwo powołania do wojska było coraz większe, a służba w armii carskiej cieszyła się zasłużeniem podłą opinią. Decyzja zapadła. Nadszedł czas, aby poszukać pomocy w organizacji podróży.

AGENCI EMIGRACYJNI

Przy organizacji podróży korzystano ze skomplikowanej sieci agentów i ich pomocników. Tymi ostatnimi mogli być prawie wszyscy. Najlepiej sprawdzały się osoby mające uzasadniony powód do częstych podróży oraz kontakt z liczną rzeszą innych ludzi. Idealni byli: karczmarze, młynarze, handlowcy, przewoźnicy, wędrowni rzemieślnicy. Monopol na tę działalność mieli w

⁴ Adam Dobroński, dz. cyt., s. 118.

⁵ Tamże, s. 114.

praktyce Żydzi, którzy korzystali z licznych kontaktów za granicą, a nawet za oceanem. Polacy pełnili zwykle funkcje pomocnicze. Szmuglowali ludzi przez granicę lub udostępniali swoje nadgraniczne obejścia jako punkty zbiorcze dla przerzucanych grup.

Sposób działania takich sieci został dopracowany już w okresie wielkiej emigracji z zachodniej części Europy. Teraz wystarczyło ten system przeszczepić i przystosować do lokalnych warunków panujących we wschodniej połowie kontynentu. Organizacja i sposób działania sieci zależały od warunków ekonomicznych i prawnych na danym obszarze. Jako materiał porównawczy dla sytuacji w zaborze rosyjskim, krótko opiszę uwarunkowania w zaborze austriackim.

Sytuacja ekonomiczna w Galicji była wręcz tragiczna a administracja nieudolna i skorumpowana. Władze austriackie już dawno na swe centra przemysłowe wybrały kilka rejonów w samej Austrii oraz obszar Czech. Większa ich ilość była zbędna. Galicja została najbiedniejszą prowincją monarchii habsburskiej. Traktowano ją jak kolonię, jako miejsce zbytu towarów i źródło taniej siły roboczej. Powtarzające się klęski suszy, pociągały za sobą śmierć głodową dziesiątek tysięcy mieszkańców prowincji. Do dziś na określenie skrajnej nędzy używamy terminu „galicyjska bieda”. Jest paradoksem, że wszędzie na świecie nędzy towarzyszy dynamiczny wzrost populacji. Nie inaczej było w Galicji. Władze uznały, że jedyną metodą na pozbycie się nadwyżek siły roboczej jest jej wyekspediowanie poza granice państwa. Problemy robiono jedynie wtedy, gdy chodziło o mężczyzn zdolnych do służby wojskowej.

W przypadku Galicji można mówić nie o emigracji, lecz o masowej ucieczce. Taka masowość była dla wielu okazją do szybkiego wzbogacenia. Linie żeglugowe prześcigały się w pomysłach na nakłonienie tysięcy emigrantów do skorzystania z usług konkretnej linii. Do kieszeni agentów wpływały krocie z prowizji od sprzedanych biletów. Przy okazji robiono dodatkowe interesy. Okazja czyni złodzieja, więc i cały emigracyjny proceder uległ wynaturzeniu.

Zwyrodnienie systemu ukazuje relacja Leopolda Caro z procesu członków jednej z siatek⁶. Proces rozpoczął się w listopadzie 1889 r. w Wadowicach, a jego przebieg obserwowało kilkudziesięciu dziennikarzy z całego świata.

⁶ Leopold Caro, *Emigracja i polityka emigracyjna ze szczególnym uwzględnieniem stosunków polskich*, s. 82-105.

Jeszcze więcej osób zasiadło na ławie oskarżonych. Poza właścicielami agencji emigracyjnej z Oświęcimia, pośród oskarżonych znaleźli się: kolejarze, dzierżawcy restauracji dworcowych, policjanci, żandarmi, celnicy, urzędnicy sądowi. Także starosta powiatowy okazał się zamieszanym w aferę. Jak słusznie się czytelnik domyśla – wątek dotyczący starosty szybko wyciszono.

Oświęcim był jednym z najważniejszych miejsc, do których zmierzali kandydaci na emigrantów. Tuż za granicą znajdowały się Mysłowice. Z tej dużej pruskiej stacji kolejowej tory prowadziły bezpośrednio do Bremy i Hamburga – głównych portów obsługujących oceaniczny transport emigrantów. Zadaniem kolejarzy było skłonienie wychodźców do wyboru Oświęcimia jako stacji granicznej. Twierdzili, że przejazd do innych stacji jest niemożliwy – na przykład z powodu remontów. Bilety kolejowe wykupione na przejazd do stacji innych niż Oświęcim, uznawali za nieważne. Wątpliwości opornych rozpraszał opłacany przez gang – żandarm.

W Oświęcimiu dochodziło do bójek pomiędzy uzbrojonymi w pałki pracownikami konkurencyjnych agencji. Podstawową metodą pozyskania klienta było wyrwanie z jego rąk skromnego zazwyczaj bagażu i ucieczka w kierunku biura agencji. Ofiara kradzieży biegła za rabusiem i trafiała wprost w ręce pośredników.

Po przekroczeniu progu agencji nie było już praktycznie odwrotu. Gdy ktoś postanowił wyjść, to do akcji wkraczał skorumpowany żandarm. W celi pobliskiego posterunku kłopotliwy klient dostawał czas na przemyślenie swego postępowania. Biuro agencji miało wystrój wzbudzający respekt. Ściany zdobiły portrety cesarza, a pracownicy agencji odziani byli w uniformy, łudząco podobne do tych noszonych przez urzędników państwowych. Szacowni niby-dygnitarze żądali okazania całej gotówki i posuwali się do rewizji interesantów. Cena biletu na transoceaniczną żeglugę była zależna od ilości okazanej i odnalezionej gotówki. Wyższa cena nie oznaczała lepszych warunków podróży. To była już tylko kwestia szczęścia lub pecha podróżnika. Bilety przydzielano losowo. Płacący najmniej mogli podróżować w całkiem przyzwoitych warunkach – świeżo zwodowanym, szybkim transatlantykiem. Ktoś, kto zapłacił najwięcej, musiał się często zadowolić – niemiłosiernie powolnym, starym, przeżartym przez rdzę parowcem. Często, taki parowiec po przywiezieniu do Europy surowców, nie znalazł wystarczającej ilości ładunku na podróż do Ameryki i wypełniał luki „żywym ładunkiem”.

Jeżeli posiadaczowi biletu zostały jakieś pieniądze, to tracił je na wiele innych sposobów. Agenci twierdzili, że każda operacja związana ze sprzedażą biletu, wymagała telegraficznego połączenia z Hamburgiem, Bremą, Filadelfią, Nowym Jorkiem, Bostonem lub nawet Waszyngtonem. Do sprawnej obsługi tej międzynarodowej telekomunikacji służył zwykły budzik. Dzwonienie budzika oznaczało połączenie z centralą danej linii żeglugowej. Kolejne terkotanie oznaczało zgodę na przyjęcie podróżnika przez kapitanat amerykańskiego portu. Jeżeli interesant nadal posiadał jakieś pieniądze, to niezbędne było połączenie z Waszyngtonem. Tym razem, to sam cesarz Ameryki osobiście przyrzekał przydzielić emigrantowi wielki kawałek żywej ziemi. Takie długodystansowe połączenia były oczywiście niezwykle kosztowne. Oferta agencji była jednak znacznie szersza. Niezbędnym okazywało się ostrzyżenie kandydata zgodnie z panującą za oceanem najnowszą modą, czyli „na Amerykanina”. Agencja zapewniała również korzystny wynik badań lekarskich. Udający doktora pracownik agencji szczegółowo badał pacjenta. Przy okazji dawało to dodatkową możliwość sprawdzenia, czy badany posiadał gdzieś jeszcze ukryte pieniądze. Wynik inspekcji nigdy nie wypadł pozytywnie. Pracownicy agencji dawali jednak choremu do zrozumienia, że „doktor” za niewielką opłatą skłonny jest przymknąć oko na jego rozliczne dolegliwości. Oczywiście, że nawet taki stanowiący okaz zdrowia i zgodnie z najnowszymi trendami ostrzyżony delikwent nie mógł pokazać się w Ameryce w swym staromodnym ubraniu. Agencja oferowała masowo produkowaną najtańszą odzież i buty. Na garderobę narzucano marże godne najelegantszych wiedeńskich i berlińskich sklepów. Na koniec okazywało się, że w podróży niezbędne są jeszcze: blaszane garnki, sztucce, talerze. Tym asortymentem agencja również dysponowała i rzecz jasna po okazyjnej cenie.

Modnie ostrzyżony, wytwornie ubrany i wyekwipowany w blaszane naczynia osobnik, mógł już śmiało pokazać się na granicy. Nieważne czy był poborowym, dezerterem, czy zbiegłym kryminalistą. Podejrzenia żandarmów i urzędników celnych budziły natomiast wszelkie inne osoby, nawet gdy legitymowały się legalnymi paszportami. Te musiały się liczyć z aresztowaniem pod byle pretekstem. W areszcie dawano im szansę na rozważenie skorzystania z usług agencji. Gdyby nadal trwały w błędzie, to niestety, ale czekało je odstawienie pod strażą do miejsca zamieszkania.

Kuriozalne były przypadki ekspediowania za ocean osób, które nigdy tam się nie wybierały. Charakterystyczny jest przypadek pewnej Rusinki. Jak co roku

wybrała się do Prus na sezonowe roboty. Tym razem postanowiła podróżować przez Oświęcim. Jej także wyrwano na stacji bagaże i tym podstępem zwabiono do agencji. Gdy okazało się, że ma wystarczającą ilość gotówki, wciśnięto jej bilet na statek. Zaprotestowała, ale przybyły żandarm dał jej do zrozumienia, że miała tylko dwa wyjścia – Ameryka, albo powrót do domu bez grosza przy duszy. W Stanach Zjednoczonych ta dzielna kobieta nie знаła nikogo. Podejmowała każde zajęcie, aby tylko zarobić na podróż powrotną i odłożyć pieniądze odpowiadające tym, jakie mogła wypracować w Prusach. Po osiągnięciu swego celu wróciła do rodziny.

Sytuacja ekonomiczna na ziemiach polskich zajętych przez Rosję nie była tak zła, jak w Galicji. Diametralnie różna była natomiast postawa władz w stosunku do zagadnienia emigracji.

W 1847 r. wprowadzono w Rosji – Kodeks Kar Głównych i Poprawczych. To niewiele zmienione w 1876 r. prawo, obowiązywało aż do końca istnienia imperium Romanowów. Emigracja bez zezwolenia władz groziła konfiskatą majątku i wygnaniem. Nawet samo tylko zachęcanie do emigracji groziło zsyłką na Syberię. Jeszcze ostrzejsze kary dotyczyły osób, które do wyjazdu namawiały poborowych lub osoby odbywające służbę wojskową. Zgodnie ze wspomnianą już wcześniej ustawą z 1784 r. mężczyźni, którzy ukończyli 15 lat życia, aż do odbycia służby wojskowej nie mogli emigrować. Także otrzymanie zezwolenia na emigrację w przypadku mężczyzn, którzy służbę wojskową odbyli, było niezwykle trudne, długotrwałe i kosztowne.

Taka sytuacja ograniczała liczbę chętnych do korzystania z usług oficjalnych agencji emigracyjnych do minimum. Legalna aktywność agencji była często jedynie przykrywką dla jej działalności w szarej strefie. Oficjalnych agencji było niewiele. W guberni łomżyńskiej działały tylko dwie i znajdowały się pod stałą kontrolą.

PRZYGOTOWANIA DO PODRÓŻY

Teofil miał kilka możliwości opuszczenia granic imperium:

1. Uzyskanie paszportu drogą legalną. Oczywiście, ta propozycja jest tylko kiepskim dowcipem autora artykułu,
2. Paszport fałszywy – to spory koszt. Wyjście raczej dla tych, którzy mieszkają w głębi Rosji i podczas długiej podróży ku granicy narażone są na częste legitymowanie. Takie paszporty były zazwyczaj wyrabiane na

nazwiska osób, które nigdy nie miały zamiaru opuścić kraju. Teofil w chwili wyjazdu miał lat około dwudziestu. W momencie kontroli dokumentów żołnierz służby granicznej mógłby słusznie podejrzewać, że Teofil nie jest trzynastoletnim Adamem – gimnazjalistą z Białegostoku. Nie wyglądał także na czterdziestoletniego Jana – stróża z Warszawy. Koszt spory, a ryzyko wpadki duże.

3. Ruch przygraniczny. Mieszkańcy terenów graniczących z Prusami mogli cieszyć się tak zwanymi półpaskami, czyli przepustkami uprawniającymi do przekraczania granicy. Strefa, której stali mieszkańcy byli obdarzeni tym przywilejem była szeroka na trzy mile⁷. W roku 1905 jej szerokość powiększono do mil czterech. Upoważnionymi do otrzymania dokumentu stali się wówczas wszyscy mieszkańcy strefy. Półpasek był niejako zamiennikiem paszportu – stąd zapewne jego nazwa. Popularność tych dokumentów była ogromna. Liczba wydawanych przepustek wielokrotnie przekraczała ilość osób uprawnionych do ich otrzymania,
4. Nielegalne przekroczenie granicy. Metoda najczęściej praktykowana, najtańsza i dająca największy przypływ adrenaliny. Wzdłuż całej granicy z Prusami działały siatki przerzutowe. W miejscu, do którego z okolic Broku było najbliżej, czyli w Myszyńcu, w roku 1912 rozbito siatkę przemytników liczącą 22 osoby. Przekupiony był nawet oficer żandarmerii na stacji kolejowej w Ostrołęce⁸. Siatka z Myszyńca miała sporą wydajność. Kilka razy w tygodniu przerzucano grupy liczące po kilkanaście do kilkudziesięciu osób. Rozbicie siatki w jednym miejscu powodowało tylko chwilowe skierowanie ruchu do innych punktów przerzutowych. Interes był intratny, a urzędnicy wszelkiego szczebla skorumpowani. Po miesiącu, czy dwóch praca w pechowym miejscu ruszała pełną parą.

Rodzina Teofila wahała się zapewne między wariantem trzecim i czwartym. Możliwy był jeszcze wariant mieszany, czyli nielegalne przejście granicy z fałszywym półpaskiem. Taki wariant stanowił zabezpieczenie przed ewentualnymi kłopotami ze strony pruskich służb granicznych. Podobne problemy zdarzały się niezwykle rzadko, ale koszt wykupienia takiego ubezpieczenia był stosunkowo niski.

⁷ W omawianym okresie 1 mila rosyjska to 7 wiorst, 1 wiorsta to 1,0668 kilometra.

⁸ Adam Dobroński, dz. cyt., s. 115.

Pomocą organizacyjną służyli członkowie rodzin i znajomi, którzy już wcześniej przebyli tę trasę. Na listach okrętowych można dostrzec, że tworzył się swoisty łańcuszek. Jedną, przybyłą do Ameryki osobą, szybko stawała się kontaktem dla następnej. 14 marca 1910 r. do Nowego Jorku przybywa Bolesław Madzelan. Jako kontakt w Ameryce podaje Franciszka Godlewskiego. Za dwa lata, 23 marca 1912 r. do Nowego Jorku przybywa Józef Wójcicki. Za kontakt podaje swego kuzyna Bolesława Madzelan⁹.

12

SALOON, CABIN, AND STEERAGE ALIENS MUST BE COMPLETELY MANIFESTED.

LIST OR MANIFEST OF ALIEN PASSENGERS FOR THE UNITED STATES

Required by the regulations of the Secretary of Commerce and Labor of the United States, under Act of Congress approved February 20, 1907, to be delivered to the collector of customs at the port of arrival.

S.S. *Darmstadt* sailing from *Bremen* February 23rd 1910.

No. on List	Family Name	Given Name	Age	Sex	Rank or Degree	Calling or Occupation	Place of Birth	Country	City or Town	Address in Country of Birth	Address in Country of Residence	State	City or Town
1	Herde	Gust	25	M			Prusa	Prusa	Prusa				
2	Dyble	Henry	25	M			Prusa	Prusa	Prusa				
3	Jęglewski	Antoni	26	M			Prusa	Prusa	Prusa				
4	Łożyski	Jan	25	M			Prusa	Prusa	Prusa				
5	Madzela	Jan	25	M			Prusa	Prusa	Prusa				
6	Popowski	Konstanty	40	M			Prusa	Prusa	Prusa				
7	Podbiński	Piotr	19	M			Prusa	Prusa	Prusa				
8	Wojas	Stanisław	23	M			Prusa	Prusa	Prusa				
9	Kozak	Stanisław	44	M			Prusa	Prusa	Prusa				
10	Kondy	Stanisław	23	M			Prusa	Prusa	Prusa				
11	Podbiński	Jan	18	M			Prusa	Prusa	Prusa				
12	Grajek	Jan	26	M			Prusa	Prusa	Prusa				
13	Łuciwski	Antoni	25	M			Prusa	Prusa	Prusa				
14	Prokopiuk	Jan	40	M			Prusa	Prusa	Prusa				
15	Łuciwski	Jan	25	M			Prusa	Prusa	Prusa				
16	Łuciwski	Jan	18	M			Prusa	Prusa	Prusa				
17	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
18	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
19	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
20	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
21	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
22	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
23	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
24	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
25	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
26	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
27	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
28	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
29	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				
30	Łuciwski	Jan	20	M			Prusa	Prusa	Prusa				

Ilustracja 1. Lista pasażerów przybyłych do NY na pokładzie SS Darmstadt. Bolesław Madzelan figuruje jako czwarty od dołu. Tuż pod nim wymieniony jest Damazy Borowy z Ostrowi¹⁰.

⁹ New York Passenger Arrival Lists, na stronie: FamilySearch.org.

¹⁰ Tamże.

Pośrednika organizującego podróż z pewnością można było znaleźć w Broku, natomiast w Ostrowi Mazowieckiej było ich przypuszczalnie kilku. Podróżny, który przybył do nadgranicznej stacji kolejowej na przykład do Grajewa, a z którego wyglądu i zachowania można było wnioskować o celu jego podróży, już po kilku chwilach otrzymywał propozycję pomocy. Było to jednak wyjście ryzykowne. Istniało niebezpieczeństwo napotkania policyjnego prowokatora lub oszusta. Teofil z pewnością udał się do miejscowego, sprawdzonego pośrednika. Subagent oferował usługi typu *all inclusive*. Pobierał przedpłaty na bilety okrętowe, wymieniał ruble na marki, dolary i każdą inną walutę. Organizował także przejazd do strefy nadgranicznej, załatwiał przewodników, zaopatrywał podróżnika w niezbędne dokumenty. W okresie, w którym Teofil wybierał się za ocean, linie żeglugowe i władze amerykańskie wymagały od osoby kupującej bilet, okazania badań lekarskich. Aby w sprawę nie wtajemniczać zbyt wielu osób, badania wykonywano zwykle już po pruskiej stronie granicy. Bilet na statek także czekał zazwyczaj u agenta po stronie pruskiej. Bilety często miały formę *prepaid*. Było to wygodne dla obu stron. Osoba wyjeżdżająca nie musiała przewozić przez granicę dużej ilości pieniędzy, natomiast żyjąca w Polsce rodzina osoby, która bilet wykupiła w USA, otrzymywała na miejscu odpowiednią ilość rubli. Eliminowało to kosztowny i skomplikowany proces transferu pieniędzy. Bilety typu *prepaid* były typowe dla sytuacji, którą obecnie nazwalibyśmy „polityką wspierania rodziny”. Jedna osoba z rodziny wysłana za ocean, po pewnym czasie przysyłała bilet dla kolejnej i tak po dłuższym, czy krótszym okresie cała rodzina mogła odnaleźć się w nowym świecie.

Sądzę, że przed wyjazdem Teofil został wyposażony w metrykę na fałszywe nazwisko, a może i półpasek. Prawdziwa metryka mogła czekać po stronie pruskiej. Pośrednik oferował także pożyczki pieniędzy lub pośredniczył w sprzedaży części majątku. Miejmy nadzieję, że rodzina Teofila nie była do tego zmuszona. Polski chłop żył biednie, ale starał się odłożyć pewną sumę na czarną godzinę. Prawie zawsze były to ruble w srebrze, rzadziej w złocie. Ta podejrzliwość w stosunku do papierowych pieniędzy wydawała się niektórym, kolejnym dowodem na zacofanie polskiej wsi. Już wkrótce nowocześni posiadacze rublowych banknotów mogli użyć ich jedynie do tapetowania ścian, czy podpierania chwiejących się stołów.

PODRÓŻ

Wyjazd został z pewnością poprzedzony mszą w intencji Teoфіła – taki był zwyczaj. W tym jednak przypadku ksiądz nie podawał nazwiska ani imienia osoby, w której intencji mszę odprawiano. Teofil wyspowiadał się i przystąpił do komunii. W razie niepomyślnego obrotu spraw, jako poborowemu, groziło mu kilka lat więzienia.

Poprzedzającej wyjazd wiosennej nocy prawie nikt w domu Teoфіła nie zmrużył oka. Spały tylko najmłodsze dzieci, niewtajemniczone w szczegóły planu. Wiosna to pora roku, gdy do Prus wyjeżdżały tysiące robotników sezonowych. Była to więc znakomita okazja do zgubienia się w tłumie.

Było jeszcze ciemno, gdy ktoś zapukał w okno. Teofil miał przygotowane dokumenty, pieniądze i skromny, nierzucający się w oczy bagaż. Matka przygotowała dla syna wielki bochen razowego chleba, jedną, albo dwie pieczone kury, jajka na twardo i wielkie pęto swojskiej, suchej kielbasy. Taki prowiant polecany był długodystansowym wędrowcom. Możliwe jednak, że Teofil musiał się zadowolić jedynie dwoma bochnami chleba.

Poza woźnicą, w furmance czekało już kilku innych towarzyszy podróży. Najprawdopodobniej byli to znajomi z tej samej okolicy. Podróżnicy przygotowali też historyjkę, która uzasadniała wyjazd do odległej o około 55 km Ostrołęki. Powodów eskapady do sąsiedniego powiatu mogło być dziesiątki. Powodem ostatecznym było zawsze kilka rubli lub spora butla wódki wręczona dociekliwemu żandarmowi. W Ostrołęce, a raczej gdzieś w chałupie pod Ostrołęką podróżnicy spędzili noc. Następnego dnia, na kolejnym wozie przebyli około 40 kilometrów dzielących Ostrołękę od okolic Myszynca. Tutaj w znanym tylko przemytnikom miejscu, oczekiwali na osobę, która przesmugluje grupę przez granicę. Do stodoły czy oddalonego od wsi domu przybywali kolejni globtroterzy.

Oczywiście liczę na rozsądek rodziców Teoфіła. Mam nadzieję, że korzystali z usług najwyższej klasy specjalistów, którzy postarali się, aby sowicie opłaceni rosyjscy strażnicy zawsze mieli wzrok zwrócony w inną stronę. Na szczęście bardzo rzadko zdarzał się pośród strażników ktoś uczciwy i sumienny lub młody i naiwny. Nawet w przypadku trafienia na takiego dziwaka, najczęściej po dniu czy kilku dniach, udawało się wszystkich zatrzymanych ponownie wyekspediować za granicę. Wszystko było kwestią ceny. Oczywiście zdarzały się przypadki, gdy i duże pieniądze nie pomagały. Na granicy pokazywały się

także pojedyncze osoby czy większe grupy, które lekcewały pomoc oferowaną przez przewodników. O takich przypadkach ci ostatni z chęcią informowali strażników. Dla strażników była to okazja do wykazania się czujnością i odpowiednią liczbą zatrzymań. Profesjonalni przewodnicy zwykle nie posiadali broni, natomiast amatorzy wręcz przeciwnie. Strzały na granicy były codziennością. Zdarzało się również, że w biały dzień, granicę ze śpiewem na ustach forsowały zorganizowane, nawet kilkusetosobowe cztery. Jeżeli strażników było tylko kilku, to woleli zejść tłumowi z drogi.

Wróćmy jednak do Teofila. Nie wiemy, czy Teofil przekroczył granicę tej, czy następnej nocy. Z pewnością długo nie czekał, gdyż ruch na granicy był intensywny. Po drugiej stronie oczekiwał już następny przewodnik, którego zadaniem było przeprowadzenie grupy do miejsca urzędowania agenta. Biuro agenta raczej nie mieściło się w położonych tuż za granicą Rozogach (wówczas *Friedrichshof*), ale w Spychowie (*Puppen*), a może nawet dopiero w Szczytnie (*Ortelsburg*). Biuro tuż za granicą, w małym miasteczku, gdzie mieścił się urząd celny, to byłaby chyba lekka beczelność. Jeżeli podróż odbywała się w roku 1912 to dzielący Rozogi od Spychowa dystans 11 km, pomagała przebyć łącząca te miejscowości kolejka wąskotorowa. Przewodnicy nie lubili jednak korzystać z nadgranicznych stacji. Woleli unikać podejrzliwych spojrzeń ze strony pruskich strażników i żandarmów. Sądzę, że drogę do Spychowa, Teofil pokonał pieszo wraz z pracownikami sezonowymi.

Pruscy żandarmi i policja dosyć tolerancyjnie spoglądali na ruch emigracyjny. Każdy emigrant to kolejne marki dla linii żeglugowych, portów, spółek kolejowych. Każdy nowo zwodowany w niemieckich stoczniach transatlantyk to przyczynek do powstania wielkiej, władającej oceanami cesarskiej floty. Zwracano uwagę przede wszystkim na ludzi chorych, obdartych, nieposiadających żadnych pieniędzy, podejrzanych z innych przyczyn. Tacy osobnicy rodzili podejrzenie, że mogą być obciążeniem dla społeczeństwa, czy stanowić zagrożenie dla porządku publicznego.

W biurze Teofil wykupił bilet lub otrzymał bilet typu *prepaid*. Wziął kąpiel, przeszedł badania lekarskie, zamienił ubranie pozwalające na wtopienie się w tłum pracowników sezonowych na ubranie bardziej pasujące do centralnych części Niemiec. Podstawową zasadą pozostawało – nierzucanie się oczy, zniknięcie w tłumie. Czy miał czas na odpoczynek? Raczej nie, chociaż czekała go jeszcze długa podróż. Bilet kolejowy ze Spychowa do Olsztyna (*Allenstein*) najprawdopodobniej już czekał. Tam przesiadka na pociąg do Torunia, Stamtąd

do Berlina. Dalej już wprost do Bremy lub Hamburga. Cała podróż oczywiście czwartą klasą. Nie było w zwyczaju kupować biletu wprost do docelowego punktu podróży. Aż do miasta portowego zachowywano ostrożność i rodzaj konspiracji.

Prawdopodobnie była to dla Teoфіła dziewicza podróż koleją. Lokalny pociąg do Olsztyna był przypuszczalnie pełen robotników sezonowych. Nie jest wykluczone, że Teofil spotkał w nim inne grupy nielegalnych emigrantów. Bardzo popularnym miejscem przerzutowym, była okolica sąsiadującej z Myszyńcem miejscowości Wincenta. Korzystający z usług tamtejszych szmuglerów, wsiadali do pociągu już w Pisz (Johannisburg).

Nie spotkałem się z przypadkami, aby agenci z Prus traktowali klientów, tak jak to było w zwyczaju agentów z Oświęcimia. Często podczas całej podróży towarzyszył grupom jakiś członek siatki. Czasami takie osoby oczekiwały na stacjach przesiadkowych. Zdarzały się jednak przypadki, gdy w dobrze naoliwionej maszynie coś zazgrzytało. Na stacjach położonych na ziemiach polskich zagubiony, nieznający niemieckiego pasażer mógł liczyć na pomoc przypadkowo spotkanego rodaka. Zgubienie się w Berlinie dla ludzi, którzy z większych miast widzieli dotychczas jedynie Ostrów Mazowiecką czy Ostrołękę musiało być szokiem.

Podróż wagonami czwartej klasy opisał w 1891 r. Adolf Dygasiński. Powodem wyprawy znanego dziennikarza i pisarza wychodzącym szlakiem, była „gorączka brazylijska”¹¹. Podróż pociągami najniższej klasy nie ulegała szybkim przemianom. Możemy założyć, że i kilkanaście lat później wyglądała podobnie:

W Toruniu wsiadłem do wagonu 4-tej klasy, udając się do Bremy; wagon taki jest to klatka 12 łokci długa, 4 szeroka; na ścianie napis opiewa; Normale Besetzung; 30 Sitzplatze, 15 Stehplatze; ale szranki przepisu przekraczają się i w wagonie naliczyłem 50 osób wraz z dziećmi. Pełno tutaj wilgoci, temperatura taka, jak w cieplarni dla roślin egzotycznych. Widząc tyle drobiazgu ludzkiego, otrzymujesz wrażenie, że w tem gorącu dzieci samorzutnie się rodzą. Na podłodze wszędzie porozlewane jest mleko, woda, pełno okruszków chleba, kości, ściany zamazane masłem, miodem i Bóg wie czym. Na poręczy suszą się pieluchy i pierzynki z pod maleńkich dzieci; przytem aż ciemno od dymu z fajek i papierosów

¹¹ Masowa emigracja do Brazylii w ostatniej dekadzie XIX w.

[...] Na najbliższej stacyi wsiada sześciu pijanych Niemców robotników, depcą po głowach śpiących dzieci i wybuchają wesołą piosnką. [...] Pragnienie w tym tłoku wszystkich pożera; ale nikt nie chce wyjść z dzbankiem po wodę, aby się nie spóźnić. Oprócz Żydów i mnie, nikt też nie umie jednego słowa po niemiecku. [...] W ogóle całe to towarzystwo wygląda tajemniczo, pełne podejrzliwości, i wszyscy niechętnie rozmawiają. [...] Wśród takich scen dojechaliśmy do Scharlottenburga. Trzeba tu widzieć salę dla wychodźców. Jest to olbrzymia, sklepiona suterena, w której przy lichym oświetleniu wypoczywa blisko 2,000 ludzi. W dużym, żelaznym piecu pali się, a emigranci nasi pieką kartofle, inni zjadają chleb albo rzucają się do snu na ziemię. [...] Jedni się modlą cicho, drudzy śpiewają na cały głos: „Kto się w opiekę podda Panu naszemu”. [...] Wrzeszczą modlą się, jedzą, myją się itd. Trwa to do godziny 12-tej w południe; w tym czasie wchodzi szwajcar i woła: Nach Bremen! Teraz porywa się cała gromada, pędzi za szwajcarem, jak fala wody, dusząc się i przewracając, unosząc wielkie pakunki. [...] Ponieważ uchodzę za emigranta, więc poniewierają mną konduktorzy i szwajcarzy [...] I mnie i chłopów chwytają ciągle i wypytyują ciągle jacyś ajenci, stręczą bilety [...] W wagonach już teraz do samej Bremy nie ma ławek; siedzi się na ziemi. [...] O jedenastej w nocy przybywamy do Bremy¹².

Tak oto z pomocą Adolfa Dygasińskiego dotarliśmy do Bremy. Podróż do Hamburga różniła się zapewne tylko jednym szczegółem. Na berlińskiej stacji Scharlottenburg zawołano: *Nach Hamburg!*

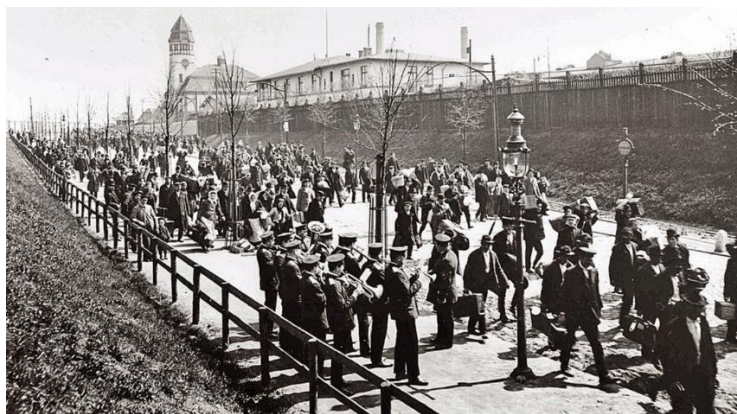
Teofil spędził już co najmniej sześć nocy w podróży. Spokojny odpoczynek nie będzie mu jednak dany. Czytelnikom należy się wyjaśnienie kilku spraw. Wytropienie dokładnej trasy Teofila jest trudne ze względu na fakt, że zapewne podróżował pod przykrywką. Spędziłem wiele godzin, przeglądając listy pasażerów przybywających do Nowego Jorku, Filadelfii, Bostonu i Baltimore¹³. Nie znalazłem tam nie tylko Teofila Madzelana, ale także żadnego innego Teofila odpowiadającego naszym kryteriom. Nie był to przypadek wyjątkowy.

¹² Adolf Dygasiński, *Listy z Brazylii*, s. 13-21.

¹³ *New York, Boston, Philadelphia, Baltimore Passenger Arrival Lists*, na stronie: FamilySearch.org.

Była to bardzo częsta praktyka. Do Stanów Zjednoczonych przyływano na fałszywych dokumentach i dopiero na miejscu regulowano sprawę formalne.

Na stacjach kolejowych w Bremie i w Hamburgu, ponownie czekał tłum różnego autoramentu: pośredników, oszustów, wyludzaczy, kieszonkowych złodziei, stręczycieli. Jeżeli Teofil i jego współtowarzysze podróży wciąż nie posiadali biletów na statek, to udali się do biura agenta. W wypadku gdy nie byli wystarczająco asertywni, to do biura zostali zaciągnięci przez oczekujących prowizji samozwańczych przewodników. Czasami zdarzało się, że w stosunkach niemiecko-rosyjskich panował okres nadzwyczajnej przyjaźni. Wówczas przychodziła dyrektywa, aby rosyjskich poborowych nie wypuszczać za morze. Jeżeli jeden agent odmówił sprzedaży biletu, to wystarczyło zajrzeć do kolejnych lub oświadczyć, że pochodzi się z terenów monarchii habsburskiej.



Ilustracja 2. Pełna emigrantów ulica prowadząca do hamburskiego portu. Fotografie wykonano na początku XX w.
Źródło: nrd.de.

Na wypłynięcie oczekiwano zazwyczaj kilka dni. Bywało, że pobyt w schronisku (bo nie sposób nazwać tego miejsca hotelem), opłacony został w ramach ogólnych kosztów podróży. Częściej należało poszukać schronienia na własną rękę. Niemiecka policja nie tolerowała spania na ulicach czy w parkach. Niektórzy szli prosto do poleconego wcześniej miejsca. Inni poddawali się namowom naciągaczy i za pobyt w jakimś paskudnym przytulisku płacili jak za nocleg w dobrym hotelu. Takie podejrzanym miejsca kusiły swojsko brzmiącymi nazwami – na przykład Stadt Warschau. Zakładam, że Teofil podczas dni spędzonych w portowym mieście wykazał się wyjątkową odpornością. Miejmy nadzieję, że jedynymi rzeczami, na jakie dał namówić to zestaw ponoć niezbędnych w podróży bezwartościowych blaszanych naczyń i butelka niezawodnego lekarstwa na chorobę morską. Pod tą etykietką sprzedawano najpodlejszy, trudny do przełknięcia rum.

Możliwe było spędzenie kilku dni bez ponoszenia kosztów, Miejsce takie opisuje Dygasiński:

Smutny, bardzo smutny widok! Kilkuset ludzi leży w śmieciach, w które zaledwie masz odwagę nogą wstąpić. Wszelki nieporządek, jaki sobie tylko wyobrazić można, spotyka się tutaj. W całej owej wielkiej ruderze roją się tłumy mówiących po polsku. Jedni zostali tutaj wysiadłszy prosto z pociągu, innych powyrzucano z różnych gospód, ponieważ nie mieli czym płacić za dach i utrzymanie. Na starym Bahnhofie są prawdopodobnie najwięksi nędzarze. Dostają oni bezpłatnie nie tylko pomieszczenie, lecz i żywność. [...] Ten dobroczynny uczynek spełnia towarzystwo żeglugi północno-niemieckiego Lloyd¹⁴.

Z pewnością Teofil miał już dosyć wrażeń i z niecierpliwością oczekiwał na opuszczenie portu. Prawie każdy emigrant płynął trzecią klasą. Jeżeli jednak pod pojęciem trzeciej klasy rozumiemy to, co widzieliśmy na filmie „Titanic”, to istniały jeszcze klasy 4, 5, 6, a może i kolejne. Kosztujące bajorńskie sumy bilety kapryśnych pasażerów pierwszej klasy nie stanowiły największego przychodu linii. Ich przewóz był raczej kwestią prestiżu. Największe pieniądze uzyskiwano dzięki stłoczeniu jak największej liczby najbiedniejszych pasażerów, na jak najmniejszej przestrzeni.

Oto jakie były pierwsze wrażenia Dygasińskiego, który, pomimo że miał dokładnie opisać życie emigrantów, sam nie zaryzykował podróży pod pokładem transatlantyku:

Rozpatrzywszy się po zajętej przez siebie kabinie, zszedłem niebawem pod pokład na pierwsze i drugie piętro, które mi się przedstawiły jako rodzaj morskiej sutereny. Na każdym z tych pięter wiszą dwa pokłady łóżek z żelaznych prętów, a każde takie łóżko zaopatrzone jest w siennik, wysłany słomą, i w poduszkę z trawy morskiej. Na łóżku spoczywa jeden dojrzały człowiek (matka lub ojciec) i dziecko. Przejścia między łózkami są wąskie, tak że minąć się trudno¹⁵.

¹⁴ Adolf Dygasiński, dz. cyt., s. 23, 24.

¹⁵ Tamże, s. 31, 32.

Podczas rejsu zdarzały momenty komiczne: „Czy pani już womitowała? – zapytuje konkurent pani swego serca, a ona odpowiada głosem melancholijnym: – Jeszcze nie, ale mi się zbiera ”¹⁶.

Nie wiemy, pod jakiego statku pokładem płynął Teofil. Na przykład wspomniany wcześniej Bolesław Madzela, przypłynął do Nowego Jorku 14 marca 1910 r. pod pokładem SS Darmstadt. Był to wysłużony 20-letni parowiec, który zabierał: 49 pasażerów klasy pierwszej, 38 drugiej i 1904 trzeciej. W myśl tego, co napisałem powyżej, po przejrzeniu kilku relacji z rejsu, jego trzecią klasę zakwalifikowałbym do klasy piątej.



Ilustracja 3. Stosunkowo niewielki, bo o wyporności 5000 ton parowiec, który odbywał rejsy nawet do Australii.

Źródło: passengers.history.sa.gov.au.

Pewnego dnia Teofil stawił się w porcie wraz z około dwoma tysiącami współpasażerów. Chciałbym, aby Teofil był dżentelmenem i przepuścił wszystkie kobiety ciężarne, kobiety z dziećmi, kobiety jako kobiety, dzieci, starców. Z drugiej strony takie postępowanie gwarantowało miejsce w najbardziej oddalonym od schodów, najciemniejszym kącie i oczywiście koję na piętrze. Powietrze w wypełnionym kilkuset osobami pomieszczeniu już po kilku godzinach było nie do zniesienia. Cierpiący na chorobę morską ludzie wypełniali salę wszelkimi możliwymi wyziewami. Jestem pewien, że Teofil dzielnie, bez wahania wszedł po trapie na statek. Dla wielu była to przeszkoda nie do pokonania. Często niezbędne było użycie siły lub nawet ogłuszenie pasażera pałką. Jeżeli chodzi o wikt, to pasażerowie trzeciej klasy nie byli przesadnie wybredni – zresztą rozbuchanej konsumpcji nie sprzyjała choroba morską. Pochodzące z wielkiego kotła jedzenie, było ponoć niegorsze, choć smakowało dziwacznie i podejrzanie.

¹⁶ Adolf Dygasiński, dz. cyt., s. 40.

AMERYKA

Na filmach powtarza się ten sam obrazek. Oczom pasażerów ukazują się poprzez mgłę majestatyczne wieżowce Manhattanu i Statua Wolności. Pozostańmy w tej konwencji.

Po dziesięciu, a może po kilkunastu dniach oceanicznej żeglugi, oczom Teofila Madzelana ukazały się poprzez mgliste opary, majestatyczne wieżowce Manhattanu i Statua Wolności. Miejmy nadzieję, że jego młody organizm dobrze zniósł trudy podróży – czekał go bowiem ważny test.

Każdy przybyły do Nowego Jorku emigrant musiał przejść przez Ellis Island. Procedury trwały wiele godzin. Wszyscy byli przesłuchiwani i badani przez lekarzy. To jeden z najważniejszych egzaminów życiowych. Otrzymanie obok swojego nazwiska notki *detained*, było katastrofą. Ogromne pieniądze i wyrzeczenia szły na marne. Jak pokazać się w rodzinnej miejscowości z niczym? Lista powodów, dla których można było zostać odrzuconym, była długa. Ziemia obiecana nie potrzebowała osób: chorych fizycznie lub umysłowo; kalek; tych, którzy popełnili zbrodnię; prostytutek; stręczycieli; poligamistów; anarchistów itp., itd.

Po podróży w mało komfortowych warunkach każdy mógł okazać się chorym. W takim przypadku był zatrzymywany na wyspie celem odbycia kwarantanny. Jeżeli nadal miał kłopoty zdrowotne, to wraz z osobami odrzuconymi z powodów prawnych, odsyłany był do Europy na koszt tej linii żeglugowej, na której statku przybył. Osobom, u których zdiagnozowano wstępnie chorobę, lekarze przy użyciu białej kredy rysowali na ubraniach odpowiednie litery. Na przykład: H – choroba serca, E – choroba oczu. X – upośledzenie umysłowe.

Pomimo tych wszystkich restrykcji, wjazdu na teren Stanów Zjednoczonych odmawiano nielicznym. Przeciętnie co pięćdziesiątej osobie. Pośród imigrantek przechadzały się nobliwe damy, które wypatrywały pań lekkich obyczajów. Te, jako że w przyszłości mogły sprowadzić ich zacnych mężów na manowce, poddawano bardziej wnikliwym przesłuchaniom.

Teofil jest zdrowy, nie stanowi też zagrożenia dla moralności obywateli i stabilności państwa. W każdą niedzielę i święto chodził do kościoła. Nie przeszkadzało to zapewne w narzekaniu na kler, podobnie jak robiła to większość polskich chłopów. Zdarzało się, że coś nieprzyjemnego powiedział na temat rosyjskich władz. To wszystko nie czyniło jednak z Teofila anarchisty.

Bez kłopotów otrzymał więc *landing card*, czyli przepustkę do lepszego świata. Od tego momentu był określany jako imigrant.

Już na wyspie umożliwiano wymianę pieniędzy, kupno biletów kolejowych, a nawet wysłanie telegramu do rodziny w Stanach Zjednoczonych lub w kraju rodzinnym. Następnie prom przewoził imigrantów na Manhattan. Tutaj podobnie jak w Berlinie czy w Hamburgu kłębił się tłum. Tym razem w chmarze ludzi znajdowali się także członkowie rodzin i znajomi. Licznie byli reprezentowani także stręczyciele wypatrujący pośród nowoprzybyłych co ładniejszych, samotnych dziewcząt. Te najatrakcyjniejsze, przypłynęły w kabinach drugiej klasy. To „towar” zbyt delikatny, by ryzykować uszkodzenie w trakcie transportu. Barwny tłum ogłaszał okrzykami wydawanymi w dziesiątkach języków.

Być może na Teofila także ktoś oczekiwał, a może otrzymał dokładne wskazówki co do dalszego postępowania? Nie jest wykluczone, że teraz jego przewodnikiem był ktoś życzliwy, kogo spotkał na statku, a kto już wcześniej był w Nowym Jorku. W innym wypadku metropolia mogła przerazić nawet wędrowców znacznie bardziej doświadczonych od Teofila.

Nie wiemy, czy Teofil zatrzymał się w Nowym Jorku – raczej nie. Celem wyprawy było zdobycie funduszy na nowe życie i pomoc rodzinie w kraju. Nie było ani czasu, ani pieniędzy na zwiedzanie. Następnym celem podróży była

PENSYLVANIA

Jak przypuszczam, czytelnicy zauważyli już, że proces odtwarzania losów Teofila, jest żmudny i poszlakowy. Na karcie rejestracyjnej, którą wypełniono przy późniejszym wstąpieniu Teofila w szeregi armii amerykańskiej, czytamy, że pracował jako górnik dla spółki Jefferson & Clearfield Coal Company. Miejscem jego zamieszkania było McIntyre w hrabstwie Allegheny.

Była to kopalnia i zarazem osiedle górnicze powstałe w 1910 r. Nazwę swą zawdzięczało milionerowi H. B. McIntyre, który majątku dorobił się na handlu węglem. Oczywiście twórca miejscowości nie zamieszkiwał w McIntyre, ale w pobliskim, eleganckim Jacksonville. Przytłaczającą większość pracowników kopalni stanowili imigranci z Europy Wschodniej. Rodziny wynajmowały od kopalni domy. Jeden albo dwa pokoje w takim domu zajmowali samotni górnicy określani mianem *boarders*, czyli stołowników. Ci ostatni stanowili znaczące wsparcie finansowe dla goszczących ich rodzin. Podobnie jak na naszym Śląsku,

przy domach znajdowały się chlewiki, kurniki, warzywniki. Gdzieś tam można było zobaczyć krowę. Poza osiedlem górniczym istniały domy prywatne. Także tutaj często przyjmowano stołowników. W osiedlu znajdowały się wybudowane przez kompanię: skromna przychodnia, ośmioklasowa szkoła, kościół katolicki i sala taneczna. Elektryczność i bieżącą wodę doprowadzono do domów dopiero w późnych latach dwudziestych.

Teofil nie znał języka i podobnie jak większość imigrantów nie miał konkretnego, przydatnego w nowym kraju zawodu. Wiemy, że nie potrafił pisać, a co do jego umiejętności czytania, to także możemy mieć wątpliwości. Od najmłodszych lat ciężko pracował, toteż bez wahania przyjął ofertę najcięższej i najbardziej niebezpiecznej pracy. W 1913 r. taki kandydat na górnika zarabiał około 0,35 dolara na godzinę brutto¹⁷. Po odliczeniu przeróżnych składek Teofil mógłby zarabiać nie więcej niż 12,5 dolara tygodniowo. W tym czasie za funt mięsa na kotlety schabowe płacono około 0,25 dolara, za funt wołowiny rosółowej 0,15, funt zaś bekonu 0,3. Zakup tuzina jajek stanowił wydatek rzędu 0,3 dolara. To jednak ceny przeciętne¹⁸. W zagłębiu przemysłowym i górniczym trzeba się było liczyć z cenami wyższymi o przynajmniej 20%.



Ilustracja 4. Domy z czasów, gdy w McIntyre pracował Teofil Madzelań, istnieją do dzisiaj, samo zaś osiedle jest prawie opustoszałe i należy do liczego grona amerykańskich „miast duchów”.

Źródło: coalcampusa.com.

¹⁷ *Union Scale of Wages and Hours of Labor, May 15, 1913*; Bulletin of the United States Bureau of Labor Statistics.

¹⁸ *Retail Prices, 1913 to December 1919*; Bulletin of the United States of Bureau of Labor Statistics.

Podana wyżej stawka zarobków dotyczyła stałych pracowników i członków związków. Kopalnie, stalownie, firmy budujące linie kolejowe nie po to masowo zatrudniały nowoprzybyłych imigrantów, aby płacić im związkowe stawki. Teofil, podobnie jak przeważająca część górników był pracownikiem dniówkowym. Płacono w systemie akordowym i jak twierdzą górnicy w swych wspomnieniach¹⁹ – kopalnia nagminnie oszukiwała przy wypłatach. W przypadku McIntyre dodatkowym problemem był fakt, że kompania sporą część dniówki wypłacała w bonach do realizacji w sklepach należących do kompanii. Pokłady były cienkie, więc godzinami pracowano na kolanach. Spółka nie zapewniała odzieży ochronnej. Każde ubranie noszone przez górnika w pracy, momentalnie zamieniało się w łachmany.

Górnicy wspominają, że traktowano ich podle, płace były niskie, ceny zaś w sklepach należących do kompanii zawyżone. Ktoś napisał, iż zdarzało się, że ze sklepu telefonowano do dyrekcji z pytaniem: „Czy Joe Blow wydobył dziś wystarczająco dużo węgla, aby zwrócić pieniądze za trzy bochenki chleba, które otrzymał rano na kredyt?”.

W pierwszych tygodniach po przybyciu nawet te marne pieniądze, w porównaniu z zarobkami w ich dawnych krajach, mogły się wydać imigrantom uśmiechem losu. Nie może dziwić fakt, że zasiedziali górnicy traktowali nowoprzybyłych z ogromną niechęcią, a czasami wręcz z nienawiścią.

Edukacja imigrantów przebiegała jednak szybko. W 1910 r. wybuchł w Pensylwanii strajk w kopalniach w hrabstwie Westmoreland. Około 70% pracowników kopalń w tym rejonie, stanowili imigranci z obszaru obecnej Słowacji, toteż strajk otrzymał miano „strajku słowackiego”. Podczas starć z siłami porządkowymi zginęło kilkunastu górników. Łamistrajków rekrutowano już na Ellis Island. Preferowano osoby, które nie mówiły po angielsku, najlepiej analfabetów. Zapewniano darmowy transport z Nowego Jorku do kopalń.

Miejmy nadzieję, że pomimo ciężkich warunków, Teofilowi udało się pomóc pozostawionej w Grabownicy rodzinie. System transferu pieniędzy był bardzo skomplikowany. Już wówczas, od kilkadziesiąt lat istniała American Express Company. Oddział firmy znajdował się również w hrabstwie Allegheny. Oddziały mieściły się także na ziemiach polskich. Oficjalne instytucje finansowe nie cieszyły się jednak zaufaniem wschodnioeuropejskich imigrantów. Źle ubranych, słabo mówiących po angielsku ludzi, onieśmiewały

¹⁹ *Memories of Miners and Mining*, na stronie: *McIntyrep.com*.

eleganckie wnętrza i nie mniej eleganccy pracownicy banków. Dodatkowo bankructwa amerykańskich lokalnych banków nie były niczym wyjątkowym. Cenzurowana poczta rosyjska także nie budziła zaufania – pieniądze znikwały z kopert. Stworzono więc ryzykowny, skomplikowany i kosztowny system, w którym poprzez przeróżnych pośredników pieniądze trafiały z USA nawet do najmniejszej miejscowości. Aby pomóc rodzinie, Teofil udawał się z pieniędzmi do właściciela polskiego baru czy sklepu. Niewykluczone, że rodzina odbierała pieniądze od tej samej osoby, która wcześniej pomagała w organizacji wyjazdu Teofila. Transferowane sumy od czasu do czasu ginęły. Jednak ogólnie, o dziwo, ten skomplikowany i kosztowny system działał całkiem sprawnie.

Przy zaokrętowaniu na okręt transportujący jego pułk do Francji, Teofil podał, że osobą, z którą należało się skontaktować w razie nagłej potrzeby, była pani Bronisława Zaborowska z Castle Shannon – ciotka Teofila.

Castle Shannon, to obecnie licząca ponad 8000 mieszkańców, sympatyczna miejscowość w hrabstwie Allegheny. Miejscowość należy do obszaru metropolitalnego Pittsburgha. Na początku XX w. w okolicy znajdowało się kilka kopalń. Piękne położenie miasteczka sprawiło, że każda z nacji miała tu swoje miejsce piknikowe: Polacy bawili się w gaju Adamsa, Litwini i Serbowie przy końcu Hamilton Road, Niemcy w gaju brzozowym, Grecy zjeżdżali do Sleepy Hollow.

Rodzinę Zaborowskich z hrabstwa Allegheny, odnajdujemy na kartach spisu powszechnego z roku 1900²⁰. Głową rodziny jest Jakub Zaborowski lat 35. Jego żona to Julianna z Łukaszewskich lat 33. W Stanach Zjednoczonych przebywają od 15 lat. Oboje pochodzą z zaboru rosyjskiego. Jakub i Julia są analfabetami. Już w Pensylwanii urodziła się ich szóstka dzieci. Wszyscy mieszkają w jednym domu. Najprawdopodobniej wynajętym, a nie własnym. W domu mieszka także Józef Zaborowski lat 24, brat Jakuba. Dla podreperowania budżetu Zaborowscy goszczą stołownika. Jest nim John Ukaszowski lat 47. Niewykluczone, że to jeden z licznych brokowskich Użarowskich. Jeżeli chodzi o Zaborowskich to w parafii Brok i w parafiach sąsiednich, byli licznie reprezentowani, ale żaden z nich nie odpowiada naszym kryteriom. Podobnie jest z Julią Łukaszewską. Dwójka starszych z sześciu dzieci Julii i Jakuba uczęszcza do szkoły.

Z ciekawości przeprowadziłem kilka obliczeń. Moje rachunki są pobieżne i w żadnej mierze nie pretendują do miana badań statystycznych:

²⁰ *United States Census 1900, Allegheny, Pennsylvania, na stronie: FamilySearch.org.*

1. W 1900 r. około 30% zamieszkałej w hrabstwie Allegheny Polonii to dzieci urodzone już w Stanach Zjednoczonych,
2. Poza kilkoma wyjątkami wszyscy dorośli przybyli z zaboru rosyjskiego,
3. Niestety prawie wszyscy polscy imigranci to pracownicy dniówkowi,
4. Polscy imigranci trzymają się razem. Stołownicy korzystają z gościny prawie wyłącznie polskich rodzin. Do wyjątków należy dom własny, domy są z reguły wynajmowane. Jeden dom zamieszkuje przeciętnie 6-7 osób,
5. Nie zauważyłem starszych dzieci, które nie uczęszczały do szkoły,
6. O umiejętność czytania i pisania w dowolnym języku oraz mówienia w języku angielskim pytano także dzieci w wieku szkolnym. Według spisu, około połowa polskich imigrantów nie potrafiła czytać. Mniej niż połowa opanowała sztukę pisania. Wliczając dzieci uczęszczające do szkoły, jedynie co trzeci z pytanych potrafił mówić po angielsku.

Dopiero w dokumentach dotyczących spisu powszechnego z maja 1910 r. odnajdujemy Bronisławę Zaborowską²¹. Była to jednak urodzona w 1906 r. córka Józefa i Pauliny Zaborowskich. Trudno ją więc uznać za ciotkę Teofila. Angielski Teofila nie był zapewne perfekcyjny. Dodatkowo stres towarzyszący stawieniu się przed komisją wojskową, mógł spowodować, że Teofil pomylił angielski odpowiednik słowa „ciotka”, z odpowiednikiem słowa „siostrzenica”. Od poprzedniego spisu liczba Zaborowskich znacznie wzrosła. Ożeniło się dwóch synów i brat Jakuba. Z zaboru rosyjskiego przybyło dwóch kolejnych Zaborowskich i założyło w Stanach Zjednoczonych rodziny. Jakubowi i Juliannie urodziła się trójka nowych dzieci. Jakub zna już angielski i nauczył się czytać. Wciąż jednak podobnie jak Julia ma problemy z pisaniem.

Pokusiłem się o bardzo pobieżne zbadanie, jakie zmiany zaszły w ciągu dekady pośród Polonii hrabstwa:

1. Osoby urodzone w USA to już niewiele mniej niż połowa polskiej społeczności,
2. Społeczność powiększyła się o 150-200%. Co trzeci Polonus pochodzi obecnie z zaboru pruskiego. Imigranci z Galicji są nieliczni,
3. Mniej niż co piąta dorosła osoba nie jest w stanie dokładniej określić wykonywanego zawodu i jako profesję podaje po prostu „robotnik”.

²¹ *United States Census 1910, Allegheny, Pennsylvania, na stronie: FamilySearch.org.*

- Co jakiś czas trafia się ktoś, kto posiada własny sklep spożywczy, masarnię, bar, zakład krawiecki, czy warsztat ślusarski,
4. Polonia wciąż trzyma się razem. Zmniejszyło się jednak zagęszczenie domów. Przeciętnie w każdym mieszka teraz 5-6 osób. Już co piąty dom jest własnym domem rodziny. Domy w pełni spłacone należą do rzadkości.
 5. Nie zauważyłem starszych dzieci, które nie uczęszczały do szkoły
 7. Podobnie jak 10 lat wcześniej o umiejętność czytania i pisania w dowolnym języku oraz mówienia po angielsku pytano także dzieci w wieku szkolnym. Według spisu już ponad 80% reprezentantów Polonii potrafi czytać. Nieco gorzej jest z pisanie. Przeważająca większość mówi po angielsku.

Liczyby dowodzą, że zaszły zmiany na lepsze. Z zaboru pruskiego przybyła rzesza lepiej wyedukowanych imigrantów. W polskiej szkole uczą przybyłe z tego zaboru nauczycielki.

W kwietniu 1910 r. w hrabstwie Allegheny nadal nie ma żadnego Madzelana. Nie sądzę, aby mógł przybyć już po wybuchu wojny. Dlatego okres, w którym Teofil odbył swą pierwszą transatlantycką podróż, ograniczyłem do lat 1910-1914.

WOJNA

W lipcu 1914 r. wybuchła pierwsza wojna światowa. 6 kwietnia 1917 r. do konfliktu przystępują Stany Zjednoczone. Zapanała entuzjastyczna atmosfera podobna do tej, w jakiej do wojny przystępowały ponad dwa lata wcześniej inne kraje. Do ochotniczego wstępowania do wojska zachęcały ogłoszenia gazetowe, barwne plakaty, patriotyczne parady. Atrakcyjne kobiety przypinały młodym mężczyznom trójkolorowe wstążki. W 1917 r. służba w amerykańskiej armii mogła się jawić i była przedstawiana jako nieomal skautowski obóz. Atmosferze poddał się i Teofil. Postanowił zasilić szeregi amerykańskiej armii. W tym momencie wypadałoby napisać, że chciał bronić amerykańskich wartości, walczyć o demokrację, wyzwolić rodzinny kraj od zaborców itp. Popelnę świętokradztwo i ośmielę się mieć inne zdanie.

Uważam, że decyzja Teofila była w pełni racjonalna. Realia amerykańskiego życia mogły znacznie odbiegać od *american dream*, który nasz bohater sobie wyśnił. Teofil miał dosyć codziennej ciężkiej harówki za marne centy. Miał 28 lat i najprawdopodobniej posiadał w kieszeni niewiele więcej niż w momencie

przybycia do Ameryki. Wojna była niebezpieczna, ale i w jego pracy wypadki były codziennością. Po powrocie z wojny być może już nikt nie nazywałby go obcym. W wojsku prowadzono bowiem przyśpieszone kursy języka angielskiego oraz czytania i pisanie. Zwiększyłyby się jego szanse na lepszą pracę, a może i awans. Dziewcząt z Polski było mało. Dla rodowitych Amerykanek nie był interesującą partią. Po włożeniu munduru wszystko się zmieniało. Dziewczyny nie widziały w nim przybysza z Europy Wschodniej, ale Amerykanina.

5 czerwca 1917 r. w punkcie werbunkowym w miasteczku Indiana w Pensylwanii, Teofil wstępuje do armii. Karta rejestracyjna numer 191 mówi nam wreszcie coś więcej o nim samym. Czytamy, że był to wysoki, bezdzietny kawaler. Oczy miał niebieskie, budowę ciała określono jako przeciętną. Swoje zgłoszenie Teofil potwierdził krzyżykiem. W sierpniu 1917 r. miejscem przydziału Teofila została: kompania M, 320. regimentu piechoty, 80. dywizji. Dowódcą dywizji był generał John Joseph Pershing. 320. regiment składał się prawie wyłącznie z mieszkańców Pensylwanii.

Do września 1917 r. Teofil przebywał najprawdopodobniej w obozie Camp Allen w Pensylwanii, później zaś w Camp Lee w Wirginii. Miejsca takie jak Camp Allen, Camp Lewis czy Camp Funston istniały tylko w teorii. W chwili przybycia rekrutów były to punkty na mapie. Baraki i prymitywną infrastrukturę żołnierze budowali od zera. Jeżeli ktoś miał nadwagę, to dzięki upałom i ciężkiej pracy jego tusza wnet odpowiadała regulaminowej normie. Często zamiast karabinów żołnierze byli wyposażeni w kije. Wielu z nich zamiast mundurów miesiącami nosiło cywilne ubrania. Ameryka była kompletnie nieprzygotowana do wojny. Fabryki pracowały jednak pełną parą. Ćwiczenia, niezależnie od formacji to przede wszystkim musztra oraz forsowne marsze. Wielu oczekiwało czegoś innego, ale dla człowieka, który po dziesięć godzin dziennie tyrał na kolanach w jakiejś ciemnej, wilgotnej norze, był to naprawdę skautowski obóz. Ćwiczenia trwały od godziny 7.30 do 16.30. To jednak nie koniec dnia pełnego zajęć. Na żołnierzy takich jak Teofil czekały jeszcze lekcje angielskiego oraz nauka czytania i pisanie. Także pośród rodowitych Amerykanów roiło się od analfabetów. Żołnierzom przysługiwały nie tylko wolne niedziele, ale i soboty. Wspominający ten okres weterani nie narzekają na wyżywienie. Dodatkowo Teofil dostawał dolara żołdu za każdy dzień służby. Śmiem przypuszczać, że był to najlepszy okres w jego życiu. Oczywiście, jeżeli pominąć troskę o rodzinę, z którą z powodu wojny utracił kontakt.

Form 1 **REGISTRATION CARD** No. **191**

1667 Name in full **Teofil Madzela** Age in yrs. **27**

2 Home address **McIntyre Pa**

3 Date of birth **October 19 1889**

4 Are you (1) a natural-born citizen, (2) a naturalized citizen, (3) an alien, (4) or have you declared your intention (specify which)? **Alien**

5 Where were you born? **Grabownica nowa Russia Europe**

6 If not a citizen, of what country are you a citizen or subject? **Russia**

7 What is your present trade, occupation, or office? **Miner**

8 By whom employed? **Jefferson Clearfield Coal Co**
Where employed? **McIntyre**

9 Have you a father, mother, wife, child under 12, or a sister or brother under 12, solely dependent on you for support (specify which)? **None**

10 Married or single (which)? **Single** Race (specify which)? **White**

11 What military service have you had? Rank **None**; branch _____; years _____; Nation or State _____

12 Do you claim exemption from draft (specify grounds)? _____ **X**

I affirm that I have verified above answers and that they are true.

T
(Signature or mark)

REGISTRAR'S REPORT 37-2-23. A

1 Tall, medium, or short (specify which)? **Tall** Slender, medium, or stout (which)? **Medium**

2 Color of eyes? **Blue** Color of hair? **Brown** Bald? **No**

3 Has person lost arm, leg, hand, foot, or both eyes, or is he otherwise disabled (specify)? **No**

I certify that my answers are true, that the person registered has read his own answers, that I have witnessed his signature, and that all of his answers of which I have knowledge are true, except as follows:

O. H. Shields
(Signature of registrar)

Precinct **#1**
City or County **Indiana**
State **Penna**

June 5-1917
(Date of registration)

Ilustracja 5. Karta rejestracyjna sporządzona w momencie wstąpienia Teoфіła w szeregi amerykańskiej armii.

Źródło: FamilySearch.org.



Ilustracja 6. Stołówka żołnierska w obozie Camp Lee.

Źródło: *Mobilizing for War, Apr-Nov 1917. Camp Lee, VA ; history.army.mil.*

W następnym dokumencie czytam, że w Newport w stanie Wirginia, Teofiła zaokrętowano na okręt płynący się do Francji. Brak jest niestety daty. Aby ją poznać, sięgam ponownie po książki dotyczące historii 80. dywizji^{22,23}. Pierwsze oddziały tej jednostki przybyły do Francji 23 maja 1918 r., a ostatnie 23 czerwca. Z pewnością ta oceaniczna podróż przebiegała Teofilowi w znacznie lepszej atmosferze niż poprzednia. Teofil był już ekspertem od oceanicznej żeglugi. Jego amerykańscy koledzy zwykle nie zapuszczali się dalej niż około 30 kilometrów od miejsca zamieszkania. We Francji 23.000 żołnierzy 80. dywizji przystąpiło do ćwiczeń wraz z żołnierzami brytyjskiej trzeciej armii. Początkowo ćwiczenia odbywały się kilka kilometrów na wschód od Boulogne. Charakter ćwiczeń stawał się coraz bardziej zbliżony do warunków bojowych. Żołnierze, w pełnym rynsztunku pokonywali dziennie po około 20 kilometrów. W sierpniu znaleźli się już w rejonie, gdzie niedawno toczono walki. To nie był obszar typowy dla terenów skautowskich wypraw – krajobraz był księżycowy i wszędzie unosił się paskudny odór. 1 września oddziały przybyły do strefy przyfrontowej w rejonie Tronville. 14 września dywizja znalazła się już na linii frontu w rejonie Ippecourt. Jej formacje zastąpiły oddziały 3 Korpusu armii amerykańskiej. Natychmiast dochodzi do starć. Jednak dopiero 26 września rozpętuje się piekło.

Tego dnia rozpoczyna się największa i najkrwawsza z bitew stoczonych kiedykolwiek przez amerykańską armię. Na cmentarzu wojennym Meuse-

²² *History of the 318th Infantry Regiment of the Eightieth Division 1917-1919.*

²³ Edward G. Lengel, *To Conquer Hell. The Meuse-Argonne 1918. The Epic Battle That Ended The First World War.*

Argonne swoje miejsce spoczynku znajdzie 14.426 amerykańskich żołnierzy. W bitwie trwającej od 26 września do 11 listopada 1918 r. udział weźmie 1,2 miliona amerykańskich żołnierzy. Życie straci 26.277, rannych zostanie 95.786.



Ilustracja 7. Amerykańska obsługa karabinu maszynowego podczas operacji Meuse-Argonne, w której uczestniczył Teofil.

Źródło: *US National Archives and Records Administration*.

Preludium do bitwy jest atak na Bethincourt. Przez kolejne dni trwa praktycznie nieprzerwane natarcie wojsk sprzymierzonych. Kolejne pułki przystępują do walki. W atakach udział bierze ponad 300 francuskich czołgów i 800 samolotów. Dywizja traci każdego dnia, setki zabitych i rannych. Teofil wychodzi z rozgrywanego się dramatu bez szwanku. 10 października rozpoczyna się luzowanie wykrwawionych oddziałów dywizji. Manewr osłania m.in. 320 regiment. 12 października dowództwo dywizji odnotowało jedynie kilku poległych w akcji. Pośród nich znalazł się Teofil Madzelań. Gazety amerykańskie codziennie drukują listy ofiar. Teofil ma swoją chwilę sławy – niestety pośmiertnej.



Ilustracja 8. Amerykańscy czołgiści podczas operacji Meuse-Argonne.

Źródło: *US National Archives and Records Administration*.

Przede mną kolejne dokumenty. Pierwszy pochodzi z czerwca 1921 r., a dotyczy ekshumacji zwłok Teofila z cmentarza Argonne American Cemetery w Romagne-sous-Montfaucon oraz późniejszego pochówku na cmentarzu Arlington National Cemetery pod Waszyngtonem. Następny dokument to lista z nazwiskami personelu wojskowego, który w sierpniu 1921 r. przypłynął z Antwerpii do Hoboken w New Jersey. Pod pojęciem personelu ujęto pospół żywych i martwych. Na liście wymieniony jest Teofil Madzelan. Teofil powrócił do Stanów Zjednoczonych. Tym razem pod własnym nazwiskiem. Na cmentarzu Arlington został pochowany 6 października 1921 r.

Jeżeli kogoś los rzuci w rejon Waszyngtonu, to może odwiedzi grób naszego bohatera historii zwykłych ludzi: Arlington National Cemetery; sekcja 18; numer grobu 3549.



Ilustracja 9. Nagrobek Teofila Madzelana na cmentarzu Arlington.
Źródło: *findagrave.com*.

BIBLIOGRAFIA

Caro Leopold, *Emigracja i polityka emigracyjna ze szczególnym uwzględnieniem stosunków polskich*, Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, 1914.

Chętnik Adam, *Kurpie*, Kraków, Księgarnia Geograficzna „Orbis”, 1924.

Dobroński Adam, *Infrastruktura społeczna i ekonomiczna guberni łomżyńskiej i obwodu białostockiego*, Białystok, Sekcja Wydawnicza Filii UW w Białymstoku, 1979.

Dygasiński Adolf, *Listy z Brazylii*, Warszawa, Wydawnictwo Kuriera Warszawskiego, 1891.

History of the 318th Infantry Regiment of the Eightieth Division 1917-1919, London, Forgotten Books, 2016.

Lengel Edward G., *To Conquer Hell. The Meuse-Argonne 1918. The Epic Battle That Ended The First World War*, New York, Henry Holt and Company, 2009.

Wiewiora Joseph, *Jamestown. Pioneers from Poland*, Chicago, The Polish American Congress, 1958.

ŹRÓDŁA INTERNETOWE

Memories of Miners and Mining, na stronie: *McIntyrepa.com* [dostęp 11.09.2018].

New York, Boston, Philadelphia, Baltimore Passenger Arrival Lists, na stronie: *FamilySearch.org* [dostęp 03.09.2018].

New York Passenger Arrival Lists, na stronie: *FamilySearch.org* [dostęp 02.09.2018].

Retail Prices, 1913 to December 1919, Bulletin of the United States of Bureau of Labor Statistics, na stronie: *fraser.stlouisfed.org* [dostęp 15.09.2018].

The WWI Era, na stronie: *history.army.mil* [dostęp 30.09.2018].

United States Census 1910, Allegheny, Pennsylvania, na stronie: *FamilySearch.org* [dostęp 17.09.2018].

United States Census 1900, Allegheny, Pennsylvania, na stronie: *FamilySearch.org* [dostęp 18.09.2018].

Union Scale of Wages and Hours of Labor, May 15, 1913; Bulletin of the United States Bureau of Labor Statistics, na stronie: *fraser.stlouisfed.org* [dostęp 20.09.2018].

United States World War I, na stronie: *FamilySearch.org* [dostęp 10.09.2018].

World War I and World War II. US National Archives and Records Administration, na stronie: *archives.gov* [dostęp 10.10.2018].

ILUSTRACJA WYRÓŻNIAJĄCA ARTYKUŁ

Wpływający do nowojorskiego portu emigranci, cieszą się na widok Statuy Wolności. Fotografię wykonano około roku 1910. Źródło: *reddit.com*.